

Pasujemy

do

siebie

Emma Lord

Young

Emma Lord

*Pasujemy
do
siebie*

PRZEŁOŻYŁA

Katarzyna Bażyńska-Chojnacka

 *Young*

TYTUŁ ORYGINAŁU:

You Have a Match

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Anna Gorovoy
Opracowanie graficzne okładki: Ewa Popławska
DTP: Maciej Grycz

You Have a Match

Text Copyright © 2020 by Emma Lord

Published by arrangement with St. Martin's Publishing Group.

All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Young
an imprint of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-8321-018-6

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Rozdział 1

Zaczyna się od zakładu.

– Na sto procent jestem bardziej Irlandką niż ty, Abby. – Connie, która jest niewiarygodnie ruda, rzuca mi wyzwanie przy stole podczas lunchu.

– Irlandzkość to nie tylko rude włosy – wytykam jej z ustami pełnymi pikantnych cheetosów. – Moi dziadkowie ze strony ojca byli tak bardzo irlandzcy, że wysysali sok z ziemniaków.

– Ale ani ty nie jesteś ruda, ani żaden z tych trzech gremlinów, których nazywasz młodszymi braćmi – zauważa Connie i prawie wylewa chili na stos podręczników, którą ułożyła na stole.

– Mało brakowało, co? – drażnię się z nią.

Connie lekko kopie mnie w nogę. Poczujębym się z tym gorzej, gdyby nie była tak oszałamiająco piękna, że brano ją za aktorkę, która grała Sansę Stark, więcej razy niż można policzyć na palcach jednej ręki – szczególnie imponujący

wyczyn, jeśli weźmiemy pod uwagę, że mieszkamy na przedmieściach Seattle, kilka trylionów kilometrów od każdej sławnej osoby, która nie jest Billem Gatesem.

– Nie żebym popierał te anglosaskie bzdury...

Wzdrygam się, a wtedy chili Connie łąduje na stosie jej podręczników. To, że wyciera fasolkę z podręcznika, którego przerobiony tytuł krzyczy (*Jebać*) WOS – zakres rozszepieprzony!, nie grożąc mi śmiercią, świadczy o tym, jak bardzo stara się udawać, że między mną i Leo wszystko jest w porządku.

– ...ale chcę sobie zrobić wysyłkowy test DNA – dopowiada niewyraźnie Leo, przeżuając, i siada z pudełkiem śniadaniowym obok Connie.

– Och, doprawdy? – pytam, przechylam się nad stołem i rozmyślnie nawiązuję z nim kontakt wzrokowy.

Leo, fundament naszego trio, zna nas obie od małego: mnie, bo mieszkamy obok siebie, a Connie z drużyny piłki nożnej. Obie więc znamy go na tyle długo, żeby wiedzieć, jak bardzo sprawa jest poważna. Leo z siostrą zostali adoptowani z Filipin i nie wiedzą nic o swoich biologicznych rodzicach, i jak dotąd nie wykazywali najmniejszych chęci, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

Ale wszyscy chodzimy na dodatkowe zajęcia z antropologii i właśnie uczymy się, jak we właściwy sposób prześledzić swoje korzenie i narysować drzewo genealogiczne. Stąd nasza irlandzka przepychanka z Connie i pewnie zainteresowanie Leo kwestią pochodzenia.

– Taa. – Leo wzrusza ramionami. – To znaczy bardziej chodzi mi o sprawy zdrowotne, można się wiele dowiedzieć.

Obie wiemy, że to tylko połowiczna prawda, ale Connie się z niego nabija, więc ja już nie muszę.

– Sprawy zdrowotne?

– Można też ustalić biologicznych członków rodziny, jeśli oni też zrobią sobie test – mówi Leo pośpiesznie, bardziej do swojego ogromnego pojemnika z jambalają niż do nas. Po czym dodaje szybko, zanim zdążymy zadać następne pytania: – Nieważne. Jest rabat, jeśli się kupi więcej niż jeden. Jak chcecie, wam też mogę kupić, a wy mi oddacie kasę.

Connie przesuwa stos podręczników, żeby zrobić na stole więcej miejsca na jedzenie Leo, przepyszną mieszaninę resztek po jego weekendowych przygodach kulinarnych.

– No wiecie, zaoszczędziłem trochę z pracy w lodziarni.

Marszczę nos. Wszyscy wiemy, że mam pieniądze uzbierane za pilnowanie wyżej wymienionych „gremlinów” podczas piątkowych randek rodziców, ale zbieram na nowe obiektywy do Kitty, mojego aparatu, i obsesyjnie poluję na zniżki w internecie.

Tyle że Leo szuka mojego wzroku, czego nie robił tak naprawdę od paru miesięcy. Nareszcie, po raz pierwszy od Wysoce Wstydliwego Wysokości – nazywanego WWW – który nadal intensywnie próbuję wyprzeć z pamięci. Jednak cokolwiek wyraża ten wzrok, natychmiast to ukrywa i rozumem od razu, że wcale nie chodzi o rabat.

– Tak. Tak zróbmy.

Connie uśmiecha się szeroko.

– Przegrany musi upiec zwycięzcy irlandzki chlebek sody.

Leo, który jako jedyny z nas ogarnia gotowanie, podrywa głowę.

– Pomogę temu, kto przegra.

Ściskamy sobie z Connie ręce na znak zgody, a Leo zaczyna gadać o tym, że do chleba na sodzie pasują wiśnie z czekoladą i cynamonem, a kiedy rozlega się dzwonek kończący przerwę na drugie śniadanie, zakład jest przypieczętowany.

Szczerze mówiąc, parę godzin po tym, jak napluliśmy do próbek i odesłaliśmy materiał, zapominam o całej tej sprawie. Mam niebezpiecznie niskie stopnie do poprawy, niekończące się zajęcia dodatkowe do zniesienia i zmartwionych, ale pełnych dobrej woli rodziców do unikania. Plus Leo zafiksowany na skończeniu szkoły i Connie skupiona na większej liczbie zajęć ponadprogramowych, niż mogę policzyć na palcach rąk i nóg – cała nasza trójka wirująca na różnych orbitach.

Ale oto jest, miesiąc później: mejl w skrzynce z odnośnikiem do strony, która najwyraźniej wie o mnie więcej, niż ja sama dowiedziałam się o sobie przez szesnaście lat.

Scrolluję tekst, szaleńczo zafascynowana szczegółami. Dowiaduję się, że najprawdopodobniej jestem brunetką (prawda), mam kręcone włosy (prawda jak cholera) i mam skłonność do monobrowi (nieuprzejme, ale również prawda). Dowiaduję się, że prawdopodobnie nie toleruję laktozy i zapewne nie mam problemów ze snem, za to istnieje szansa, że będę bardziej niż inni czerwona na gębie po wypiciu alkoholu (zanotowane, przyda się na studenckie wyczyny). No i dowiaduję się, że jestem Irlandką w 35,6 procent i fakt

ten niezwłocznie magazynuję w pamięci, żeby we właściwym momencie rzucić go Connie w twarz.

Dalsze zgłębianie wiedzy o sobie przerywa mi buczenie telefonu. To Leo pisze na wspólnym czacie: „Są wyniki DNA. Jedno wielkie nic”.

To tego rodzaju wiadomość, że nie muszę czekać, aż ktokolwiek odpowie: po prostu wiem, że teraz obie idziemy do Leo. Mimo to odczekuję parę minut, wkładam Kitty do futerału, wsuwam do ust gumę balonową i daję Connie szansę, by mnie mogła dogonić i żebyśmy dotarły na miejsce jednocześnie.

– A ty dokąd, mała?

Trzeba wyjaśnić, że ponieważ przez ostatnie kilka miesięcy tata wysiadywał więcej w pracy niż w domu, trochę wyszłam z wprawy w obchodzeniu się z nim. W tym przypadku: „A ty dokąd, mała?”, należało interpretować tak: „Z całą pewnością nie skończyłaś przepisywać wypracowania na angielski, które zawaლიłaś, a ja ewidentnie wykorzystuję ten uroczy, ale totalnie pasywno-agresywny sposób, żeby ci to wypomnieć”.

Zaciskam ręce na kasku i z całych sił utrzymuję gałki oczne w bezruchu, chociaż powstrzymywanie się przed przewracaniem oczami mogło doprowadzić do pęknięcia jakiejś żyłki w mózgu.

– Do Leo.

Tata wykrzywia twarz w jednym z tych swoich przeprasających uśmiechów, a ja zbieram siły na zwyczajowe niezauważalne przejście do rutynowego zagrania, które

udoskonalili z mamą od czasu, kiedy poszłam do pierwszej klasy liceum, a moja średnia ocen spadła na łeb na szyję.

– A co ze starym dobrym Absurdalnym Abbygrafikiem?

Ach, tak. Niesławny „Absurdalny Abbygrafik”. Ta kiepska nazwa obejmuje, choć wcale się do nich nie ogranicza, wszystkie wyczerpujące korepetycje, na które rodzice mnie pozapisywali, spotkania uczniów w sprawie testu przygotowawczego do egzaminów, na które kazali mi chodzić, oraz gigantyczną listę bieżących prac domowych spisanych na białej tablicy w kuchni (nazywaną przeze mnie Tablicą Wstydu). Dorzucę im parę punktów za kreatywność, chociaż nie za subtelność.

– Tato, jest pięć dni do wakacji, wszystko mam ogarnięte.

Unosi brwi i tak jak zamierzał, wywołuje u mnie świeżą falę poczucia winy – nie dlatego, żeby mi aż tak bardzo zależało na którymkolwiek punkcie w Absolutnie Abstrakcyjnym Abbygrafiku, ale ponieważ wygląda na totalnie wyczerpanego.

– To znaczy wszystko będzie ogarnięte – poprawiam się. – Ale jest sobota. A prawo zakazuje rozmów o szkole w soboty.

– I mówi to dziecko dwójki prawników.

Uśmiecha się krzywo, ale to nie oznacza, że mam problem z głową.

Zdmuchuję z twarzy zbłąkany kosmyk włosów.

– No dobra, napisałam już drugie wypracowanie? Siedziałam nad tym pół dnia. A teraz, czy mogłabym, proszę, wyjść trochę na słońce, zanim wchłonie ziemię?

Pasujemy do siebie

Kiwa głową z uznaniem.

– Zajmiemy się tym po twoim powrocie.

Co za ulga. Udało mi się wyrwać z więzienia. Kiedy pędzę do Leo, moja deskorolka dosłownie wybija dziury w ulicy. W chwili gdy zdejmuję kask i uwalniam burzę loków, przychodzi esemes od Connie, której znów przeciągnęło się spotkanie samorządu szkolnego i zostawiła mnie tu na śmierć.

– Masakra.

Jeszcze kilka miesięcy temu sobotnie popołudnie sam na sam z Leo byłoby czymś zwyczajnym. Ale nie jest kilka miesięcy temu. Jest obrzydliwie tu i teraz, stoję jak kretynka na podjeździe, a cień WWW skrada się za mną jak niezwykle upokarzający, napędzany feromonami duch.

Zanim się zdecyduję, co robić, Leo mnie zauważa i otwiera drzwi.

– O, Abby – mówi. – ZAbbyójczo dziś wyglądasz.

Przy powitaniu Leo zwykle wplata moje imię w jakieś swoje dziwaczne gry słów. Zaczynam przewracać oczami jak zwykle, ale przestaję, kiedy staję w tych drzwiach: słońce zaczyna zachodzić i ciepłymi kolorami oświetla jego twarz, rozjaśnia brąz oczu i połyskuje na ciemnych włosach. Korci mnie, żeby sprawdzić, jak by to wyglądało w obiektywie aparatu, a przecież prawie nigdy nie fotografuję ludzi.

Właściwie ostatnio rodzice tak bardzo dają mi w kość, że praktycznie wcale nie robię zdjęć.

Wyraz twarzy Leo zaczyna się zmieniać, pewnie patrzę za długo. Gwałtownie odwracam wzrok i wskakuję na tylnych kółkach na ganek.

– Szpanerka – mówi.

Opieram deskorolkę przy drzwiach i pokazuję mu język. Czuję ulgę, że znów potrafimy sobie dokuczać, ale Leo natchmiast niszczy nastrój.

– Gdzie Connie?

Krzywi się od razu, gdy pada to pytanie, a ja robię to, co najlepiej umiem, czyli zagaduję.

– Zajęta, wyskoczyły jej obowiązki przy jutrzejszym charytatywnym myciu klawiatur.

– Mycie klawiatur? – Leo, uczeń ostatniej klasy, razem ze swoimi kumplami, którzy nie są Connie ani Abby, wypadł z obiegu i nie ogarnia połowy rzeczy, które się dzieją. – Coś jak myjnia samochodowa dla klawiatur?

– Widziałam, że ze swojej jesz lunch, więc cię zapisałam.

Wchodzę za nim do domu, wdycham zapach ciepłego masła, przypalonego sera i, jak zawsze, delikatną nutę cynamonu.

Leo zapala światło w holu, ujawniając niebezpiecznie przechyloną wieżę patelni, garnków i rozmaitych bzdetów stłoczonych na małym kuchennym blacie. Jego laptop stoi otwarty na stole i po wyświetlanych treściach na pierwszy rzut oka widać, że rodziców i siostry, Carli, na pewno nie ma w domu.

Już mam spytać o wyniki testów DNA, kiedy Leo stawia przede mną talerz.

– Kulke z lazanii?

Wyjmuję sreberko z kieszeni i wypływam do niego gumę.

– O tak.

Pasujemy do siebie

– Uważaj tylko, bo jest... gorąca – mówi Leo z westchnieniem, ponieważ już widzi, że jawnie ignorując jego ostrzeżenie, wkładam widelec do ust.

Natychmiast pali mnie w podniebienie, ale nie na tyle, by nie docenić, jak absurdalnie pyszna jest ta legendarna kulka z lazanii, jeden wielu sposobów Leo, żeby coś faktycznie przyrządzić w domu. Stał się czymś w rodzaju piekarnikowego snoba, a ponieważ nie ufa, że jego piecyk utrzyma stałą temperaturę, kupił sobie wysokiej klasy minipiekarnik elektryczny – to stąd te miniaturowe potrawy na jeden ząb, przy których zawsze czuję się jak w jakiejś wypasionej gastronomiej, podczas gdy tkwię jak zwykle na przedmieściu Seattle.

– Wszystko gra? – pyta, z typowym dla siebie pomieszaniem irytacji i troski.

– Mogłeś po prostu przyjść – mówię, a gorąca ricotta dymi mi z ust.

Po części właśnie dlatego moja rodzina w zasadzie wchłonęła Leo – nasza kuchnia jest gigantyczna. I chociaż doceniamy kilometry blatów, bo przydają się, żeby odkładać na nie pudełka po pizzy Domino's w ramach kulinarnych szaleństw, to właściwie u mnie w domu nikt nie gotuje. Leo natomiast jest Iną Garten naszego liceum i potrzebuje miejsca, żeby z rozmachem manifestować swoje marzenia o Gastronomicznej Sieciówce (plus, bądźmy szczerzy, łechtać swoje ego, gdy bracia Day puszczą na całe niewielkie gardła nad jego pizzą sześć serów).

Nie żeby Leo ostatnio przychodził zbyt często. Bycie sam na sam już nam tak świetnie nie wychodzi. I chociaż staram

się być pozytywnie nastawiona, nie mogę powstrzymać nerwowych spojrzeń na drzwi. Ciągłe czekam w takt chwil ciszey, które zwykle zapełnia Connie.

– Czy to Kitty? – pyta Leo, wskazując na pokrowiec.

I znów to samo – ten przytłaczający cykl paniki na zmianę z ulgą. Wahanie od „między nami okej?” do „między nami nie bardzo okej”.

– W pełnej krasie swoich dziewięciu żyć.

– Teraz to już pewnie jej szóste – mówi Leo.

Wie, co mówi – był przy tym, gdy aparat dostał imię, przy tym, jak przetrwał co najmniej kilka spektakularnych upadków i prawie utonął, a także wtedy, kiedy uznałam, że fajnie będzie zawisnąć do góry nogami na drabince gimnastycznej, żeby uchwycić zachód słońca między szczebelkami, i zaryłam zębami w gumowe podłoże placu zabaw.

– Mogę? – pyta.

Opieram podbródek na piersi, żeby ukryć uśmiech, i wyjmuję Kitty z pokrowca. Leo sięga mi nad głowę do szafki, wyjmując eleganckie białe talerze i zaczyna wykladać na nie kulki z lazanii. Przez chwilę tkwimy w niewymuszonej ciszy, jak dawniej, i prawie zapominam, że żałuję nieobecności Connie: robię kilka ujęć dzieła Leo, on je sobie pobiera i wrzuca na Instagram, a ja szybko pożeram wszystkie kulki.

Leo zwykle ściąga wszystkie zdjęcia, które robię. Nie spodziewam się jednak, że dziś też to zrobi, więc zaskakuje mnie, gdy sięga po Kitty. Staram się nie patrzeć na niego, gdy niemordowanie przewija widoczki z dachu biurowca mamy

Pasujemy do siebie

w Seattle, rozległą panoramę tuż przed zmierzchem, przekłutą przez Space Needle z wyraźnymi i ciężkimi chmurami.

Staję na palcach i spoglądam na wyświetlacz. Głową prawie dotykam ramienia Leo, jestem tak blisko, że mocny zapach cynamonu całkiem wypełnia powietrze, nagrzewa się w moich płucach.

To wizytówka Leo – cynamon we wszystkim. W muffinach, w burrito, w puddingu, w grillowanym serze. Nawet jeśli teoretycznie nie pasuje, Leo znajdzie sposób, żeby go wykorzystać. Już kiedy byliśmy dziećmi, zawsze pachniał, jakby się przypadkiem wytarzał w cynamonie.

Zatrzymuje się na zdjęciu, przechyla aparat, żebym lepiej widziała. Leo twierdzi, że nie ma zielonego pojęcia o fotografii, ale jak zwykle z kilkudziesięciu zdjęć, które zrobiłam, zawsze wybiera moje ulubione – to, na którym cienie są trochę ostrzejsze, na sekundę przed tym, gdy słońce wyłoni się zza chmury.

Podnoszę wzrok, żeby kiwnąć głową z aprobatą, ale on już na mnie patrzy. Nasze spojrzenia się spotykają i jest coś łagodnego w tym, jak patrzy – i nagle bez ostrzeżenia czuję ciepło jego palców pod brodą. Oddech ucieka mi gdzieś bezlitośnie z piersi, zawieszam się na chwilę, w oczach Leo coś się czai.

– Masz, no... masz ser – mówi. – Ser na...

Dotykam twarzy, tam, gdzie była jego ręka. Wydaje się, że to miejsce pulsuje.

– Och.

– Hm, no więc, tak. Mogę wrzucić?



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059